

Ernest Krystkiewicz – Próba wiary

(Z sekcji "świadectwa" na poprzedniej wersji strony internetowej)

Ernest Krystkiewicz

Postanowiłem podzielić się pokrótce doświadczeniami, które miały miejsce w latach 2008/09. Nikt nie spodziewa się, że coś złego może przytrafić się właśnie nam osobiście. Owszem słyszymy, że ktoś cierpi lub wydarzyła się, może nawet niedaleko, jakaś tragedia, ale nam? Tak dokładnie myślałem. I wydarzyło się.

Był wrzesień 2008. Mój najstarszy syn, który od dziecka był pod kontrolą kardiologa (urodził się z wadą serca – kardiomiopatią rozstrzeniową między innymi), nagle osłabł i nie mógł normalnie funkcjonować. Nogi na wysokości łydek spuchły mu znacząco. Osłabiony spał po południu, męczył się bardzo szybko. Trzy tygodnie wcześniej rozpoczął naukę w liceum. Aby nie dopuścić do dalszych powikłań pojechaliśmy do kardiologa prowadzącego go od dziecka. Nikt nie spodziewał się takiej diagnozy. Lekarz orzekł, że serce Pawła jest w beznadziejnym stanie i nie wiadomo jak długo popracuje. Same słowa nie robiły na mnie takiego wrażenia jak twarz naszego lekarza, która raz była bardzo czerwona, a raz niespotykane blada. Pilnie przetransportować do szpitala w Poznaniu na kardiologię dziecięcą (w Gorzowie takiej nie było) – tak brzmiała decyzja lekarza. Aby oszczędzić czas postanowiłem zawieźć tam Pawła osobiście. W drodze rozmawialiśmy o czasie jaki może zająć hospitalizacja. Paweł oczekiwał, że dwa tygodnie to optymalny czas. Nikt nie wiedział jak potoczą się dalsze losy.

Dojechaliśmy tam około godziny 23.00. Dyżurujący lekarz wykonał badania i potwierdził wcześniejszą diagnozę – serce nie jest w stanie normalnie pracować (frakcja wyrzutowa 18%), przeszczep niezbędny.

Przez kilka tygodni próbowano poprawić pracę serca. Podawano Pawłowi dopaminę i inne silne leki. Mimo to jego stan się pogarszał. Schudł w tym czasie prawie 20 kg, a na plecach pojawiły się odleżyny. Kiedy odwiedziłem go w szpitalu i myłem mu plecy, zobaczyłem jego zupełną słabość i wystające żebra. Wówczas coś we mnie pękło. Lekarz delikatnie poinformował mnie, że nie wszyscy z tego wychodzą. Wraciałem do domu i płakałem. Dopiero wtedy zacząłem myśleć, że również i nam mogą przytrafić się najgorsze rzeczy.

Moja żona często bywała u Pawła, a raczej rzadko w domu. Pozostała trójka dzieci, dzielnie znosiła sytuację i trudy dysfunkcji rodziny. Wyciszone, zaprzestały zwyczajowych utarczek i przekomarzań. Wiedziały, że Pawła czeka przeszczep. Ta najgorsza opcja nie była im wiadoma.

Po ponad miesięcznym pobycie w Poznaniu i braku perspektyw, pojawiła się możliwość przekazania Pawła do kliniki w Zabrze. W jego obecnym stanie, transport mógł odbyć się tylko drogą lotniczą. Ta niesamowita akcja zabsorbowała wiele osób i zrealizowano ją w każdym szczególe. Paweł znalazł się w najlepszym ośrodku. Według ocen lekarzy z tego szpitala miał być wyprowadzony do stanu samodzielnego funkcjonowania i wysłany do domu w oczekiwaniu na przeszczep, zakładano dwa tygodnie.

Nawet najlepsi nie zawsze są w stanie zrobić to, co zamierzają. Stan Pawła stale się pogarszał. Leków silniejszych od tych, które już dostawał nie było. Miałem z moją żoną,

Kasią świadomość, że koniec może nas zaskoczyć szybciej niż myśleliśmy. Przez cały czas, Kasia była z Pawłem w Zabrze.

Nigdy nie myślałem, że jako mężczyzna będę tak płakał. Ukrywałem się z tym przed dziećmi, aby nie wywołać niepokoju i braku poczucia bezpieczeństwa. Nie wiem czy było to najlepsze rozwiązanie. Musiałem powiedzieć dzieciom o możliwości śmierci brata. Było to bardzo trudne. Pod koniec listopada postanowiłem zabrać dzieci, aby mogły jeszcze zobaczyć się z Pawłem. Dotarliśmy tam po przygodach – zmieniającej się dramatycznie pogodzie, po jedenastu godzinach!

Bardzo ważnym elementem tych wydarzeń jest poznanie przez przyjaciela niesamowitej rodziny w Gliwicach, (12 km. od szpitala w Zabrze) której gościnność, ofiarność i przyjaźń pozwoliły nam przetrwać trudne chwile. Nie tylko udzielili nam noclegu, ale spędziliśmy również mnóstwo czasu na rozmowach podczas wielu wizyt. Usługiwali nam nie tylko dorośli, ale i ich dzieci.

Dotarliśmy do Zabrze bardzo późno, wizyta rodzeństwa była możliwa następnego dnia. Paweł leżał w pokoju jednoosobowym. Weszliśmy do niego lekko spięci i niepewni. Dzieci nie widziały się już dwa miesiące. Serdeczność jaką sobie okazywali, słowa pełne szacunku i miłości przybiły mnie do kąta. Stała tam umywalka i mogłem udawać, że myję ręce, a naprawdę ukrywałem łzy. Wizyta trwała kilkanaście minut. Wróciliśmy do domu z Kasią.

Duże znaczenie miał fakt, że miesiąc wcześniej przeprowadziliśmy się do zaadoptowanej na mieszkanie naszej stodoły z pobliskiego domu. Kiedy już mieszkaliśmy w nowym miejscu tylko Pawła pokój, choć pomalowany, był pusty. Przez około trzy dni modliłem się jedną modlitwą: „czy ten dom ma być domem żałoby i smutku, czy domem radości i wesela?”. Pytałem Pana i płakałem. Nikt tego nie widział i nie słyszał. Nawet moja żona. Nie usłyszałem odpowiedzi i nie miałem żadnych przekonań co do Bożych wyroków. Odpowiedź przyszła później i w nieoczekiwany sposób.

W obliczu stałego zagrożenia, nasi przyjaciele widząc zmaganie, które sprawiało wrażenie nie do udźwignięcia, postanowili rozpocząć zorganizowaną modlitwę i post. Zaangażowanie wielu z nich było ogromne. Był to prawdziwy bój. Dla nas było to ważne, ale obawialiśmy się, że gdyby Paweł odszedł, może być to okrutną porażką dla wołających o ocalenie. Dlatego na jednym ze spotkań modlitewnych postanowiłem w modlitwie oddać Bogu mego syna kładąc go na stół ofiarny jak Abraham Izaaka. Wierzę, że było to uwalniające również dla modlących się przyjaciół.

Kilka godzin po tej modlitwie zadzwoniła do mnie z Zabrze Kasia, że serce Pawła wykazuje bardzo złe procesy i musi być natychmiast operowane. Lekarz telefonicznie wyjaśnił mi, że musi mieć wszczepioną sztuczną komorę i zabieg potrwa kilka godzin. Decyzja musi być podjęta teraz. Zgodziliśmy się. Niestety, jak opowiadali nam lekarze, wystąpiły wszystkie możliwe komplikacje. Operacja trwała kilkanaście godzin. Zamiast jednej, wszczepiono dwie komory (po otwarciu okazało się, że serce jest w jeszcze gorszym stanie niż podejrzewano). Po wybudzeniu Paweł wykazywał optymizm, ale zauważono niedowład prawej strony w wyniku skrzepu, który zablokował jakąś żyłę. Podłączony do specjalnego urządzenia, które obsługiwało komory znalazł się w zupełnie innym świecie.

O funkcjonowaniu decydowała skomputeryzowana maszyna zasilana prądem i powietrzem o zróżnicowanym ciśnieniu. Był jednym z niewielu na dwóch komorach w historii szpitala. To odnajdywanie się w nowych realiach utrudnił nam nowy problem w postaci wykrytej bakterii, która zmusiła do pełnej izolacji Pawła. Wydawało nam się, że to już za dużo, jak na tak krótki czas. Ale to nie miał być koniec niespodzianek.

Kilka dni po wszczępieniu komór



Kilka tygodni później zadzwonił do mnie lekarz dyżurujący z informacją, że Paweł zaczyna się dziwnie zachowywać i sprawia wrażenie utraty sprawności umysłowej i dobrze by było gdybym natychmiast przyjechał. Na miejscu okazało się, że ataki lęku i obawa śmierci mieszają się z jego wymyślonymi historiami. Co to mogło znaczyć? Otrzymał leki uspokajające i czekaliśmy na dalszy rozwój wydarzeń. W okresie przedświątecznym przyjechaliśmy niepewni jak uda się nam nawiązać kontakt. Już wiedzieliśmy, że ma ograniczony kontakt z otoczeniem. Gdy moja żona zapytała się czy ją rozpoznaje odpowiedział niepewnie „tak, babcia?”. Serce się nam krajało. Zadawałem sobie

pytania czy o to chodziło? Czy te przejścia Pawła, jego cierpienia, mają tak zostać zakończone? W takich okolicznościach pojawiła się jednak pewna nadzieja.

W naszym kościele odbywały się co kilku miesięczne spotkania dla chrześcijan z Polski. Na wcześniejszym był pewien człowiek z Koszalina, który nocował u nas, a przed przyjazdem na następne spotkanie, modlił się o poznanych tu ludzi. W trakcie modlitwy wymieniał ludzi z imienia. Kiedy wymienił moje imię, wpadł w spazmatyczny płacz. Kilkakrotnie próbował na nowo i efekt był taki sam, niepohamowany płacz. Następnego dnia zadzwonił do biura kościoła z pytaniem, czy mam jakieś problemy. Dowiedział się z czym się zmagamy jako rodzina i już konkretnie modlił się o Bożą interwencję. Po przyjeździe na wspomniane spotkanie zaczął mnie i opowiedział całe zdarzenie. W trakcie rozmowy z pewną obawą

czy to co powie ma sens przekazał mi swoje doświadczenia z tej modlitwy przed przyjazdem. Relacjonował, że gdy wołał do Pana, Duch Święty powtarzał mu tylko słowa „dom radości i wesela”. Spytał się czy ma to dla mnie jakieś znaczenie. Byłem wstrząśnięty. Jasne, że ma! Przez trzy dni o to tylko pytałem Pana. Były to chwile radosne i pełne czci dla Boga.

Podczas jednego z pobytów Kasi w Zabrze miała miejsce jedna z historii. Była to końcówka roku 2008. Czytając Księgę Izajasza, Bóg dotknął ją słowami 21 rozdziału, a zwłaszcza wierszem 16:

„Tak bowiem rzekł Pan do mnie:
dokładnie za rok, obliczony ściśle jak
rok najemnika, skończy się wszelka
wspaniałość Kedaru.”

Kedar oznaczał tu najeźdźcę. Wroga, który zostanie pokonany. Po przyjeździe do domu podzieliła się tym ze mną szczęśliwa, że za rok Paweł będzie w domu. Dla mnie nie była to dobra wiadomość. Myślałem, że rok jest zbyt długim okresem i nie damy rady wytrzymać takiego napięcia. Nie chciałem tego Słowa przyjąć. Kiedy jednak przeczytałem ten rozdział kilka razy, zrozumiałem, że już trwa jego realizacja. Okazało się bowiem, że doświadczałem pomocy od ludzi w sposób niebywały zgodnie z tekstem tego rozdziału, wiersz 14 („wyjdźcie z wodą naprzeciw spragnionego, wyjdźcie z chlebem na spotkanie uciekającego”). Wyrażało się to w przypadkach pojedynczych zachowań, jak np. pewien znajomy słysząc o niezmienniejącej się sytuacji, poprosił mnie o to bym wziął od niego pieniądze na paliwo na dojazd do Zabrze, gdyż nie ma on efektów w modlitwie, a bardzo chciałby pomóc. W zbiorowych zachowaniach, od przyjaciół i znajomych, którzy przekazywali nam zebrane darowizny. Oznaczało to, że Bóg pomoże nam przejść ten trudny, długi czas, ale czy aż rok?

Stan Pawła nie zmieniał się do lutego 2009. Pamiętam szczególnie 12 stycznia. Przyjechałem do niego i przywitał mnie serdecznie. Było to zaskakujące. Jednak po kilku chwilach jakby odleciał. Siedział na łóżku podpięty do aparatury z głową nienaturalnie zwieszoną. Nie miałem z nim kontaktu. Przez ten dzień pobytu co chwile jakby wybudzał się i entuzjastycznie mówił „przyjechałeś do mnie tatusiu, cieszę się” i znów odpływał. Trudne były to chwile.

Jak wspominałem, przełom nastąpił w lutym po modlitwie kilkuset osób na konferencji z Derekiem Louxem. Już następnego dnia zaprzyjaźniona Pani doktor zadzwoniła z informacją, że Paweł wraca do rzeczywistości. Cieszyliśmy się bardzo.

Ta historia z walką o życie Pawła miała kilka ważnych wątków, o których nie można zapomnieć. Oba dotyczą osób nam nie tylko nam życzliwych, ale modlących się do Boga o uzdrowienie Pawła.

Pierwsza z tych osób znana mi z mojego miejsca pracy, właścicielka dużego zakładu, z którą rozmawiałem o sytuacji Pawła. Jej współczucie było nieprzeciętne. Wiedziałem, że muszę jej powiedzieć o naszym postanowieniu i w trakcie rozmowy telefonicznej podziękowałem za jej serce akcentując, iż Bóg ma moc Pawła uzdrowić, ma moc wzbudzić go z martwych, ale ma też prawo zabrać go do siebie. Była tym zaskoczona i zakończyliśmy rozmowę. Po kilku godzinach otrzymałem sms-a „do tej pory znałam Boga, który ma

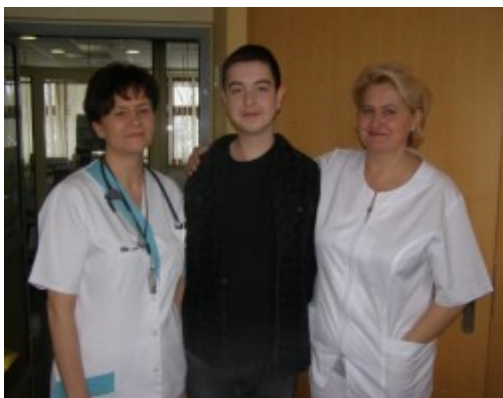
odpowiadać na nasze prośby, a teraz poznałam Boga, który może decydować o naszym życiu i jest najważniejszy”.

Druga osoba to dyrektor handlowy, ponad pięćdziesięcioletni mężczyzna, którego miałem przyjemność znać od kilku lat. Modlił się ze swą żoną o uzdrowienie Pawła. Ten również zadzwonił do mnie i usłyszał o naszym oddaniu Pawła Bogu. W tym przypadku nieco inaczej potoczyły się wydarzenia. Ponownie zadzwonił po kilku dniach z płaczem. Zaskoczony wysłuchałem tego co wydarzyło się po ostatniej rozmowie. Otóż mój rozmówca udał się, poruszony naszym zawierzeniem Panu, do swego przyjaciela, który był w jego miejscowości księdzem. Opowiedział mu o nas i o swoim stanie jako niedojrzałym i wymagającym pokuty. Tak poruszył serce proboszcza, że ten w niedzielę podczas mszy opowiedział o postawie oddania praw Bogu i naszym zmaganiu. Jako, że intencje na tę mszę były już ustalone, wezwał wiernych do modlitwy o wsparcie nas jako rodziny (w ogóle nas nie znając!) na dodatkowym popołudniowym spotkaniu. Przybyło ok.50 osób. Niesamowite.

Wracając do dalszych wydarzeń. Paweł, podpięty do aparatury, wracał do sił. Rehabilitacja zaczęła przynosić efekty, apetyt dopisywał. W marcu obchodził swoje 17 urodziny w szpitalu, ale już z nadzieją, że wszystko się dobrze zakończy. Jednak na sam przeszczep musiał czekać jeszcze pół roku. Telefon o dawcy otrzymaliśmy wieczorem, 18 listopada. Muszę się przyznać, że nie wiedziałem jak się zachować. Z jednej strony bardzo się cieszyłem, a z drugiej miałem świadomość czyjegoś dramatu. To co jedynie przychodziło mi do głowy to modlitwa o rodziców dawcy, aby Bóg pocieszył ich po śmierci syna. Po potwierdzeniu zgodności rozpoczęto jedenastogodzinny przeszczep... Udało się. Cieszyli się wszyscy. Ku memu zdziwieniu lekarze byli tak szczęśliwi jakby to był pierwszy udany przeszczep. Było tylko nieco inaczej. Mianowicie okazało się, że Paweł był pierwszym pacjentem, którego udało się wyszczepić z dwóch komór! Może i dobrze, że wcześniej o tym nie wiedzieliśmy...

Powrót do zdrowia trwał kilka tygodni. Odebraliśmy Pawła ze szpitala w ostatnich dniach grudnia 2009 roku. Wracaliśmy do domu szczęśliwi i wdzięczni Bogu za Jego obecność w tych długich miesiącach naszego zmagania. Czuliśmy się , jakbyśmy odmłodnieli i zrobili się lżejsi. Trudno było nam uwierzyć, że to koniec zmagania. Mogliśmy jakby na nowo rozpocząć nasze życie rodzinne, darowane z łaski dobrego Boga. Odtąd każdy dzień jest ważny . Po prostu „dom radości i wesela”.

Paweł z drogimi nam lekarkami Beatą Chodór i Bożeną Zeifert w dniu wypisu



Spisując te wspomnienia robię to z kilku powodów:

- aby dać świadectwo o mocy żyjącego Boga,
- aby podkreślić wagę relacji międzyludzkich, przyjaźni i zwykłej życzliwości,
- abym sam był każdego dnia wdzięczny Bogu za jego wielkość,
- aby Ci, którzy znajdą się w podobnej sytuacji mogli wziąć z naszej historii pociechę i zachętę.

Jeśli drogi czytelniku możesz wykorzystać to świadectwo aby pomóc komuś, zgadzam się na użycie bez konieczności otrzymywania zgody autora. Będę wdzięczny, jeśli dobry wpływ tego świadectwa potwierdzisz krótkim opisem na mój adres e-mail: agroernest@wp.pl

Dla zainteresowanych prowadzonym przez Pawła blogiem w czasie pobytu w szpitalu zapraszam na www.358dni.blogspot.com